

Szepty, które słyszysz tylko Ty

To się nie wydarzyło nagle. Nie obudziłam się pewnego ranka z myślą, że już go nie kocham, że coś się skończyło, że muszę odejść. Nie było wielkiego „bum”, nie było przełomu, nie było tej jednej chwili, która wszystko zmieniła. To działo się bardzo powoli. Tak powoli, że z początku nawet tego nie zauważałam. Coraz częściej milczałam. Dawniej były kłótnie, ostre słowa, trzaskanie drzwiami, łzy i przeprosiny. Ale nawet te kłótnie miały sens, bo pokazywały, że jeszcze nam zależało. Kiedyś. A potem zaczęło się milczenie - cisza po ciszy. Niewypowiedziane słowa zbierały się między nami jak kamienie, które układałam na środku łóżka, stołu, kanapy. Z każdym dniem tych kamieni było coraz więcej, aż w końcu przestałam widzieć jego twarz, a on - moją.

Potem przyszedł dzień, kiedy stałam w kuchni, bez większej uważności na to, co robię, spojrzałam przez okno i nagle przeszedł mnie dreszcz i przyszło pytanie, które zadałam sobie pierwszy raz od bardzo dawna: Kim ja właściwie jestem? Co ja tutaj robię? Nagle poczułam się obca. Obca we własnym domu, obca we własnej rodzinie, obca sama dla siebie. Zorientowałam się, że nie znam już kobiety, którą widziałam codziennie w lustrze. Nie wiedziałam, kim ona jest, a tym bardziej - kim chciałaby być. Moje serce zaczęło szeptać znacznie wcześniej. Może wtedy, kiedy po raz pierwszy schowałam łzy w łazience, żeby on nie zauważył. Kiedy pierwszy raz poczułam się niewidzialna, kiedy zaczęłam tłumić w sobie wszystko, co naprawdę czułam, bo „i tak by nie zrozumiał”. Serce nieśmiało mówiło, szeptało: To boli. Nie chcę już tak żyć.

~~~~~  
*Nie możesz zmienić innych.  
Nie możesz zmienić tego, na co nie masz wpływu.  
Jedynie, na co masz wpływ, to twoja reakcja na to,  
co do ciebie przychodzi.  
I to od ciebie zależy, co z tym zrobisz.*  
~~~~~

Ale moja głowa te szeptu natychmiast uciszała. Głowa zawsze racjonalizuje. Tłumaczyła mi, że przecież mam dzieci, że dom, kredyt, rodzina, że

nie powinnam narzekać, że jestem silna, że przecież wszyscy tak żyją. Że tak właśnie wygląda dorosłość: stabilizacja, odpowiedzialność. A to boli. Bo bycie dorosłym boli. Bo musisz zrezygnować z siebie, żeby zadbać o innych.

Ale serce nie przestawało... Nie przestawało w nocy, kiedy nie mogłam zasnąć, w samochodzie przed szkołą dzieci, gdy powstrzymywałam łzy, zaciskając dłonie na kierownicy, w kuchni, gdy wszyscy jedli kolację, a ja udawałam, że wszystko jest dobrze, choć już dawno nie wiedziałam, co to znaczy „dobrze”. Rozpadałam się powoli, kawałek po kawałku. Milczenie po milczeniu. Każdego dnia traciłam jakąś część siebie. W końcu już nie wiedziałam, kim jestem. A co gorsze - kim byłam przez te lata. Gdzie zniknęłam? Kiedy? Dlaczego? Patrzyłam na swoje zdjęcia sprzed lat małżeństwa i tęskniłam za tamtą dziewczyną, którą kiedyś byłam - za tą, która się uśmiechała, marzyła, wierzyła, że życie jest piękne. Że jeśli tylko chce - może wszystko! Po swojemu, na własnych zasadach i w zgodzie ze swoim rytmem.

A potem nadszedł moment, kiedy już nie mogłam zagłuszyć tych szeptów. Zrozumiałam, że moje serce mówi mi prawdę, której tak bardzo się bałam: Jestem ważna. Zasługuję na szczęście. Te szepty nie były słabością. Nie były moim błędem. Były mną. Prawdziwą mną, którą próbowałam zagłuszyć przez lata. Były cichym, stopniowym pozwoleniem usłyszenia samej siebie. Pozwoleniem na łzy, na prawdę, na emocje, które tak długo tłumiłam. I właśnie wtedy zaczęłam powoli wracać do siebie. Choć w tamtym momencie jeszcze tego nie rozumiałam. Właśnie wtedy, pierwszy raz od bardzo dawna, poczułam się znów żywa - mimo że serce i dusza wciąż były martwe, uwięzione w ciele, które dopiero miało nauczyć się oddychać na nowo.

Pęknięcie

Nie było jednego wielkiego wybuchu. Nie było zdrady, dramatycznego odejścia czy głośnych kłótni przy świadkach. Było coś znacznie trudniejszego do uchwycenia - powolne osuwanie się w pustkę. Wspólne milczenie, które przestało być komfortowe. Dotyk, który nie znaczył już tego samego. I ta codzienność, która zamiast łączyć, zaczęła dzielić. Kiedyś byliśmy drużyną - budowaliśmy dom, wychowywaliśmy dzieci, planowaliśmy przyszłość. Ale z czasem coś się zmieniło. W nim, we mnie, w nas. I choć oboje widzieliśmy te zmiany, przez długi czas udawaliśmy, że wszystko jest w porządku. Przecież mamy dzieci, przecież to tylko trudniejszy okres, przecież każda para tak czasem ma. Tak mówiliśmy - sobie, znajomym, psychologowi. Ale z każdym rokiem, miesiącem, tygodniem coraz bardziej czułam, że jestem w tym sama. Że nie patrzymy już w tę samą stronę, że nie widzimy siebie nawzajem, tylko obok siebie funkcjonujemy. Ja - matka, on - ojciec. Współlokatorzy w mieszkaniu pełnym wspólnych wspomnień i coraz mniej wspólnych uczuć.

Moment decyzji był zaskakująco zwyczajny. To była rozmowa przy kuchennym stole. Krótka, spokojna, chłodna. „Może powinniśmy się rozstać?” - powiedziałam, nie patrząc mu w oczy, a on po chwili ciszy odpowiedział: „Też o tym myślałem”. I wtedy poczułam, że coś się definitywnie skończyło. Było w tym coś przerażającego - ale i dziwnie wyzwalającego. Nie płakałam, nie krzyczałam, nie miałam siły. Wiedziałam tylko jedno - teraz zaczyna się coś zupełnie nowego. Nie lepszego, nie gorszego. Po prostu innego.

Po tej rozmowie życie nie stanęło w miejscu. Nic się z pozoru nie zmieniło, a jednak zmieniło się wszystko. On nadal wychodził rano do pracy, ja odwoziłam dzieci do szkoły. Gotowałam obiad, odbierałam maile, prasowałam ubrania, ale każda z tych codziennych czynności miała już w sobie inny ciężar - jakby nagle wszystko, co znane, zaczęło się chwiać w posadach. Zaczęły się noce bez snu. Wpatrywałam się w sufit i zadawałam sobie tysiące pytań: Czy naprawdę zrobiłam wszystko, żeby uratować to małżeństwo? Czy nie powinienam była dłużej walczyć? Czy dzieci zrozumieją? A może znienawidzą? Czy poradzę sobie finansowo, psychicznie, samotnie? Strach był jak mgła - gęsta, lepka, wszechobecna. Próbowałam go rozgonić rozsądkiem, ale on wracał co noc.